ABC literacko-artystyczne
Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego
Rok III. Niedziela 15 lipca 1934 r. Nr. 29

Andrzej Mikułowski

Pornograf, czy purytanin?

Zamykając pośmiertny tomik D. H. Lawrence'a, wydany niedawno p. t. „Miłość wśród stogów siana" (Love Among tre Haystacks", Secker 1933), doznaje się jakby olśnienia. Oto artysta, na którego patrzyliśmy dotąd innemi oczami, nagle stanął przed nami w nowej, jakże czarującej postaci: nowego człowieka, ze wszech miar sympatycznego.

Tomik zawiera trzy utwory: Pierwszy, to nowela - sielanka o spełnionych marzeniach dwóch



D. H. Lawrence w r. 1929

młodzieńców o miłości. dzieje napotkania szczęścia pełne słońca i świeżości, młodości. Drugi — wspomnienie osobiste z wycieczki w góry w towarzystwie żony i nocy, spędzonej w górskiej stodółce z sianem, gdzie się przed burzą schronili. Tu uderza nietylko młodzieńczy temperament, werwa, ciekawa, oryginalna refleksja, ale przedewszystkiem stosunek do żony, bliski, serdeczny, pełen tkliwej miłości, ale także stosunek zrozumienia wzajemnego, najidealniejszego koleżeństwa, najdoskonalszy stosunek, jaki sobie można wyobrazić. Trzeci utwór w tomie, to szkich nowelowy p. t. „Raz" (Once), jedna rozmowa z kobietą, która zmienia mężczyzn, znajdując w tych przelotnych stosunkach zadowolenie zmysłowe. Czegóż więcej mogłaby szukać w mężczyźnie, czyż brak jej czego w „miłości"? Brak wielki, właśnie — miłości.

LAWRENCE—CZŁOWIEK

Otwiera tomik wspomnienie Dawida Garnetta, jednego z najwybitniejszych pisarzy współczesnej Anglji, jednocześnie jednego z najkulturalniejszych, najsubtelniejszych. Poznał on Lawrence'a w Tyrolu, właśnie w czasach powstania „Miłości wśród stogów siana", i wspomnienie o tem zachował w pamięci, jako piękną i drogą kartę swego życia. Lawrence, typowa sylwetka angielskiego górnika o bardzo nierasowym, bardzo pospolitym wyglądzie zewnętrznym i pięknych oczach". Spojrzawszy raz w jego oczy, było się zupełnie oczarowanym, tak były piękne, żywe i tańczące wesołością. Uśmiech jego rozjaśniał całą twarz, gdy patrzył na ciebie, zapraszając milcząco: „Chodź... poradujemy się trochę", a zaproszenie tego spojrzenia było nieodparte, przynajmniej dla mnie". Żona jego była kobietą o bardzo niemieckim typie, o płowych, niemieckich włosach i ciężkiej budowie. z którą kontrast stanowiła głowa o szlachetnych rysach i szlachetnych wyrazie, oczach sądzących człowieka pierwszem spojrzeniem. Przypominała lwicę.

Garnett, młody wówczas, wpatrzony, jak w tęczę w szczęśliwą i zakochaną parę, uwielbiał ich, oczarowany ich wzajemnym stosunkiem, niezwykle prostym, lojalnym, idealnym. Lawrence kończył wówczas swoich „Synów i kochanków" (Sons and Lovers) i pisał urywkami, chwytając w trakcie rozmowy jakąś myśl, rzucając się do stołu, pisząc przez chwil kilka z zapałem, by znowu powracać do przerwanej pogawędki, żywy, kipiący humorem i temperamentem, dziecinną w swej bezpośredniości wesołością. Wieczorami grywali w szarady sami dla siebie, bez widzów, jak dzieci. Mimo nienadzwyczajnych warunków materjalnych żyli beztrosko, ciesząc się każdym dniem. Jednakże Lawrence był do przesady skrupulatny w sprawach pieniężnych. nigdy nie będąc dłużny ani grosza, nadzwyczaj oszczędny, a zawsze gotowy do dania komuś pieniędzy" — pisze Garnett — „Sądy jego, to co nazywał swoją fotografją, nigdy mnie nie obchodziło, ale jego **wartości**, jego instynktowny kodeks moralny, zawsze wydawał mi się bezsporny. Nie znaczy to, żebym miał świadomość ulegania jego wpływom, ale, że wystarczyło mu tylko dać do zrozumienia jak onby postąpił, abym w tej chwili widział jasno, że jego zasady są mojemi.

LAWRENCE - PORNOGRAF

W tej chwili nagle doznajemy nowego olśnienia: Lawrence wierny małżonek? Lawrence, moralista? Przecież to chodzi o autora tego okropnego „Kochanka Lady Chatterley". Przypominamy sobie to nazwisko, wypowiadane w sposób zgoła inny, niż to czyni Garnett: „Ohydny pornograf, twórca wstrętnej w swym bezwstydzie książki o tej jakiejś Lady Chatterley (czyt. Szatarlej), którą nawet polska cenzura skonfiskowała, cynik i deprawator młodych dusz..."; albo też poprostu: „niesmaczny — i pogardliwe wzruszenie ramion".

Albo z drugiej strony: Lawrence, to pierwszy, który odważył się z taką śmiałością poruszyć sprawy, o których się nie mówi; pierwszy, który rzucił w oczy kołtuństwu palące problemy współczesności; idzie na czele współczesnej Anglji; człowiek postępu; na wskroś współczesny. I tak dalej.

Z tej strony widać jednakże pewne zakłopotanie, pewną rezerwę. Nie mówiąc już o tem, że w tej branż yistnieje pewna konkurencja współczesności i wszelcy nowi apostołowie są niewygodni, pewne rzeczy jednakże postawione są zbyt śmiało. A przytem szereg kardynalnych haseł — wolnej miłości małżeństw koleżeńskich, naukowego stosunku do zagadnień seksualnych, „bez maski" — nie jest postawionych dość jasno, choć można się ich doszukać w tekście. Wśród śmiałków nie odgrywa Lawrence roli apostoła, ale raczej ekstrawaganta. Imponuje, ale jest dość niewygodny. Nie można tak odrazu... Pewne sprawy, które dotąd śmiałkowie powstawiali tylko w niedomówieniach zostały wypowiedziane bardzo brutalnie i nazwane po imieniu. To zbyt śmiało. To już — niesmacznie.

Mamy więc dwa oblicza Lawrence'a. Tego z „Miłości wśród stogów siana" i tego z „Kochanka". Czy to ten sam człowiek? Który Lawrence jest prawdziwy.

LAWRENCE — PURYTANIN.

Klucz do rozwiązania tej zagadki nie tak trudno znaleźć. Są nim dzieła artysty, stanowiące w dużym stopniu jego autobiografję duchową. Subtelną analizę tej autobiografji dał Stephan Potter w swej świetnej monografji, pierwszej książce, jaką napisano o Lawrence'ie, wydanej zaraz po jego śmierci w r. 1930. Artysta, syn górnika z Nottingham, wychowany był w atmosferze naiwnego, sentymentalnego idealizmu t. zw. „lat dziewięćdziesiątych" i bardzo szybko w niezwykle wrażliwym jego umyśle zrodziła się reakcja przeciwko tej atmosferze. Okres to największego chyba kołtuństwa moralnego, jakie znała Anglja, okres purytanizmu zdegenerowanego do pruderji, purytanizm, z którego została tylko nazwa, jakby na pośmiewisko, okres w którym dawano gotowe recepty na moralność, a największe piękno reprezentował „Albert's Memorial" w Lawrence'u obudził się ten sam duch, jakim ogarnięty był Cromwell — duch purytański.

Rozumiem, że tytuł niniejszego artykułu brzmi nieco paradoksalnie, ale nie jestem wynalazcą purytańskiego Lawrence'a. W gwiazdkowym numerze miesięcznika „The Bookman" z 1930 roku ukazał się artykuł Hugh Ross'a Wolhamson'a p. t. „D. H. Lawrence, ostatni z purytanów". Artykuł ten zdobi ilustracja, którą również tu zamieszczam — fotografja Lawrence'a z lat młodzieńczych, typowego angielskiego młodzieńca, jeszcze bez pogańskiej brody, za to w wysokim kołnierzyku, typowem akcesorjum dekadenckiego purytanizmu. Tak ubrany chodził pewno w niedzielę do kościoła Kongregacjonistów w Nottingham. Ten portret, ukazujący z innej strony późniejszego autora „Kochanka Lady Chatterley", wyjaśni może lepiej, niż słowa, że purytańskość Lawrence'a ma więcej podstaw, niżby się wydawało. Piszę „przyszłego autora", bo Lawrence — autor „Kochanka" wyglądał nieco inaczej: widzimy go na autoportrecie z roku 1929, na którym uderza nas podobieństwo do Przybyszewskiego. Ten zniszczony, brodaty człowiek o zmęczonych, gorączkowych oczach i ten uśmiechnięty, pełen pogody młodzieniec, to jeden i ten sam D. H. Lawrence. Jeden, ale czy ten sam? Odpowiedzią na to jest całe życie artysty.

FILOZOFJA LAWRENCE'A

Zaczyna się od buntu przeciw łatwej moralności i walki o prawa indywidualności. Walka z psychiką tłumu, podporządkowująca sobie wszystko, co szlachetne w jednostce, walka o treść wewnętrzną, niezdławioną przez zewnętrzną i martwą formę. Moralności prawdziwej nie osiąga się przez wykład nauczyciela ani dyplom gentlemana. Można ją osiągnąć tylko po długich, pełnych trudu zmaganiach się ze sobą samym i ze społeczeństwem. Każdy powinien sam znaleźć sobie Boga. Teza to stara w Anglji i bardzo angielska. Te same hasła wypisane były na sztandarach Cromwella. Świat obecny jest zniszczony maszynizmem, intelektualizmem, paczącym człowieka, zagłuszającym najlepsze jego instynkty, zrywającym jego kontakt z życiem. Nie należy żyć wbrew naturze, nie należy i nie można, bo może się to zemścić strasznie; obrazem tego jest współczesny człowiek, w którym wszystko, co jego własne, zostało zabite. Jedynem jego kryterjum jest kryterjum tłumu.

W wyniku reakcji na otoczenie, które zmusza go do przyjęcia pewnych zasad, następuje u Lawrence'a bunt przeciw wszystkiemu, co jest przez otoczenie uważane za świętość. Moralność 19-go wieku, stojąca pod znakiem wyższych celów, wyższych instynktów, wyższych zmysłów jest przezeń znienawidzona. Znienawidzone są przeto i owe „wyższości". Z tego samego ducha płynie t. zw. „cynizm Lady Chatterley". Ponieważ w znienawidzonym świecie zbrodnią jest pisać o akcie seksualnym, Lawrence poświęca tym opisom całe stronice. Jest to ten sam duch, który kazał Cromwellowi obtrącać głowy posągom świętych w kościołach. Nie z nienawiści do posagów ani do świętych, ale do kościoła i jego form kultu.

Celem Lawrence'a nie była pornografja. Nie była, bo jednem z jego haseł była właśnie walka z pornografją. Pornografja, jak pisał w swym essay'u „Pornography and Obscenity" Colterion Miscellany, Faber and Faber 1929), polega na czynieniu z płci rzeczy brudnej i pławieniu się potem w tym brudzie wspólnie. Płeć zaś jest rzeczą równie naturalną, jak ręce i nogi, i



D. H. Lawrence
w wieku młodzieńczym

potajemnie, bezpłodnem podniecaniu się nim. Istotą pornografji jest sekret; sugeruje ona tylko, robi aluzje, daje znaki umowne, przypominające o sekrecie, znanym

powinna być na równi z niemi traktowana. Nie jest to jednak znajoma teza, znana nam dobrze z „Wiadomości Literackich", nie jest to „życie świadome". Lawrence zwalcza nietylko tych, którzy starają się uczynić z człowieka stworzenie bezpłciowe. Zwalcza on również „naukowe" podchodzenie do tego zagadnienia, sprowadzanie płci do funkcji fizjologicznej o charakterze wydzielniczym, zwalcza wolną miłość, sprowadzającą również całą sprawę do funkcji. Płeć, to także i przedewszystkiem miłość,



D. H. Lawrence (autoportret)

misterjum, tajemnica życia, jeden z cudów stworzenia. Jest to rzecz naturalna, ale nie powszednia, a do takiej roli sprowadza ją „życie świadome". Nie wolno traktować jej lekceważąco. Najlepiej wogóle nie mówić o tych sprawach, rozmyślania bowiem nad instynktem sprowadzają je do sfery intelektualnej. Intelektualizacja zaś, „uświadomienie", prowadzi do wynaturzenia. Zwalcza również Lawrence psychoanalizę, która sprowadza wszystko do płci. To również jest wynaturzenie.

Z wszystkiemi temi tezami można dyskutować i nie zgadzać się, ale nie można im odmówić uczciwości i szczerości. Sprawdzianem wartości każdej idei jest wprowadzenie jej w czyn. Lawrence— apostoł najlepiej rozumiał swoją ewangelję. Jak według niej żył widzimy w „Miłości wśród stogów siana". Człowiek uczciwy i jaknajdalszy od owego rozpustnika i cynika, jakim jest w szerokiej opinji.

KOCHANEK LADY CHATTERLEY.

Pozostaje jeszcze kwestja „Kochanka Lady Chatterley" i tak zwanych momentów drastycznych. Tłumaczy je wiele rzeczy: Jest to ostatnie dzieło Lawrence'a, pisane wtedy, gdy nie był on już w stanie tworzyć, gdy przestał walczyć i rozwijać się, trawiony jednocześnie przez gruźlicę, która go zabiła w dwa lata później. Jest więc tu patologiczna pobudliwość seksualna. Jeżeli zaś dodamy do tego obrazoburcze zapędy, każące mu pisać właśnie tak, jak pisać „nie wolno", jeżeli weźmiemy pod uwagę fakt, że przeżycie seksualne było dla artysty najmocniejszem i najszczęśliwszem w życiu, nietylko z powodów patologicznych, ale także dlatego, że szczęście znalazł w kobiecie ukochanej, dla siebie stworzonej, którą dane mu było odnaleźć; jeżeli zważymy to wszystko, łatwo nam będzie zrozumieć, dlaczego Lawrence napisał „Kochanka Lady Chatterley".

Artysta jest więc zrehabilitowany. Nie zmienia to naszego stosunku do dzieła. Utwór to artystycznie słaby, zrozumiały tylko na tle całej twórczości autora, zawierający wiele momentów drastycznych, które wprawdzie stanowią organiczną część dzieła, ogniwo konieczne w rozumowaniu, a nie pretekst do napisania powieści i właściwą jej oś — tem niemniej podyktowane są przez fantazję chorego człowieka. Nie są pornograficzne z punktu widzenia twórcy — są pornografją, a co nią nie jest, zależy całkowicie od jednostki." — pisał sam Lawrence w „Pornography and Obscenity". Dlatego „Kochanka Lady Chatterley" należy skazać na spalenie i sprawa ta powinna być stawiana jasno. Tembardziej, że właśnie przekład tej, a nie innej książki i to jako jedynej, jest właściwie największą krzywdą wyrządzoną Lawrance'owi w Polsce.

Fakt przekładu „Kochanka" dla brudnych celów ciągnięcia zysków z pornografji jest przykładem skandalicznej moralności, panującej u nas na tak zwanym „rynku przekładowym". Sprawa jest jasna jak słońce: przetłumaczono „Kochanka" jako rzecz „kasową", bez względu na to, z jakich powodów. Nie przetłumaczono innych dzieł Lawrence'a, bo obawiano się, że czytelnik wyrobiłby sobie o autorze pewną opinję i mógłby się zawieść, przeczytawszy inne jego dzieło, pozbawione wiadomego charakteru. Wystarczy fakt, żeby kilku żydków chciało zrobić interes na pornografji, żeby splamić pamięć człowieka uczciwego i dobrego, czyniąc go świnią w oczach szerokiej opinji

Mówi się, że mniejsza o to, kim był Lawrence, sam artysta, człowiek. Rzecz w tem, żeby nie czytano „Kochanka Lady Chatterley". Zadużo już trochę tego poświęcenia prawdy dla „wyższych względów". Gdzież są „odbronzownicy", poszukiwacze „prawdy"? W dziwnej żyjemy atmosferze. I przyzwyczajamy się do niej powoli.

Zdzisław Broncel

W teatrze zbójników, rusałek i satyrów

(Rozmowa z reżyserem teatru huculskiego, Stefanem Korybutiakiem)

ZBÓJECKA GŁYWKA

W Żabiem *), od drewnianego rzeźbionego krzyża, stojącego pod daszkiem, spada droga do mostu nad Czeremoszem. Most prowadzi na niższy brzeg, kolebie się, trzęsie i huśta; stępa jadą po nim huculskie konie z siodłem drewnianem, okrytem kilimkiem. Na niskim brzegu ścieżka zakręca i prowadzi kamienistą stromizną w stronę przełomu. Czeremosz opływa skałę, przebija się przez ciasne przejście i znaczy swoją pracę szumem, wytryskami, spiętrzaniem fal i rzucaniem płatów piany na podnóże Gływki.

Gływka — góra wysoka na 800 m., okryta jest lasem — zbocze idzie spadzisto i drzewa rosną tak, że korona wyższego zaczyna się przy czubie niższego; jakiś podobny stok musiał Owidjuszowi nasunąć porównanie w „Dedalu i Ikarze" o piórach w skrzydłach Dedala, włożonych tak właśnie, jak drzewa na górze.

Wolno wspominać Owidjusza, bo i w te strony sięga legenda o jego grobie na krańcach dawnej Dacji, a jeden ze szczytów nosi nazwę Ovidius.

Na Gływce, tam, gdzie prostopadła ściana nie pozwala wyrosnąć nawet drzewnym karłom, sterczy goła skała. Taki jest i sam szczyt. Dwa razy w roku, na wiosnę i na jesieni, zbierali się na nim opryszki (zbójnicy). Wiosną odbywały się próby dzielności i zręczności, połączono z przyjmowaniem nowych członków do zbójeckiej watahy, a jesienią przed zejściem w doliny następował rozdział łupów i pożegnalna uczta.

LOSY REWIZORCZUKA

Może to właśnie na tej Gływce zwoływał swoich kompanów nieszczęsny Rewizorczuk z „Karpackich Górali". Niedaleko od Żabiego jest chata, w której mieszkał bohater Korzeniowskiego. Nazywał się Antoś Pankiewicz. Podstępnie wysłany na 15 lat w austrjackie rekruty, oderwany od matki i od narzeczonej, poprzysiągł zemstę krzywdzicielowi. Uciekł z wojska, wrócił w strony rodzinne, zabił wroga — musiał się ukryć. Pożegnał Paraskę, rzekł jej na odchodnem, że nic po nim w życiu. Dezerter i zabójca. Przystał do opryszków, został wodzem, szczęściło mu się różnie, aż kiedyś wpadł w zasadzkę. Watahę rozpędzili żandarmi, Rewizorczuka poprowadzono na sosnę. Paraska oszalała, matka na wieść o aresztowaniu zmarła. Przyjaciel zbójnika utopił Paraskę, żeby nie chodziła po świecie we wstydzie i pośmiewisku.

HUCULSKA MUZYKA

Tak brzmi pokrótce historja Rewizorczuka. Żyje ona w Żabiem po dziś dzień. Przypominają ją na liliputiej scence domu ludowego. Teraz na „Święto Huculszczyzny" w sali teatralnej (gdyby to salą można było nazwać) rozłożyła się wystawa wyrobów huculskich. Za barjerką kręci się ktoś przy patefonie. Leżą dwie płyty.

— A co to za płyty? Nie możnaby zagrać?

— Bardzo prosimy. Zaraz zagramy, to przecież nasze tańce i śpiewy. Zbójnicki „arkan", pieśni i taniec „sita rita", pieśń weselna i zawodzenie pogrzebowe.

— W czyjem wykonaniu?

— Zespołu teatru huculskiego.

Już słychać monotonny śpiew z refrenem sita-rita, sita-rita, z przytupywaniem równomiernem i zrywającym się czasem okrzykiem. Skrzypce mają przejmujący ton. Towarzyszy im blaszany pogwizd i brzęk trącanej struny. Orkiestra huculska składa się z czterech zasadniczych instrumentów: skrzypiec, bębna z talerzem, instrumentu ze strun naciągniętych na desce, które uderza się specjalnym zakrzywionym patykiem, oraz z dziwnej piszczałki. Są to małe, razem połączone rurki blaszane, wyglądające jak nasze organki.

HUCULSKI TEATR

— A to tu jest teatr?

— Jest. Odniedawna, bo dopiero od jesieni zeszłego roku. Dawniej był — przed wojną, a po wojnie dopiero teraz zaczęto go na nowo.

— A któż go założył?

— Ja właśnie. Huculi lubią teatr. Coś z tego materjału skleić, spoczątku bardzo trudno mi to wyglądało. Przecież jakoś poszło. Niewielkie mamy środki, niewiele czasu — jestem urzędnikiem sądowym — ale gramy. I na naszem przedstawieniu w Żabiem zawsze jest pełno.

To wszystko znaczy, że rozmawia z nami pan Stefan Korybutiak, huculski reżyser i autor dramatyczny. Postanowił stworzyć teatr i stworzył go. Na scence, która ledwo liczy pięć kroków wszerz, a dwa wgłąb, wystawia sztuki. W długiej, wąskiej salce, w ciemnej kiszce, oświetlonej słabo naftową lampą, przy rampie, uzbieranej z domowych naftowych lampek z jedyną kulisą — dają przedstawienia. Po 25 groszy, po 50 groszy bilet.

— I widzowie przychodzą?

— Przychodzą chętnie. Dwadzieścia pięć groszy jest to bardzo duży pieniądz dla Hucuła, a jednak przychodzą. W naszej salce jest tłoczno, cieszą się ci, co przyszli, bo jest zwyczajnie i swojsko. My nie jesteśmy artystami, pokazujemy, jak płaczemy, smucimy się, jak się cieszymy, kłócimy, ba, nawet bijemy — niekiedy i tak bywa.

AKTORZY

— Czy w teatrze gra młodzież?

— Różnie. Są młode dziewczyny (diwki), są chłopacy, jak trzeba kogo starszego, to można ucharakteryzować. Najstarszy z naszych aktorów liczy sobie 40 lat.

— 40 lat! Poważny gospodarz. Jakże on czas znajdzie, jak mu się wogóle chce bawić w teatr?

— Ho, znajdzie czas. Uczymy się sztuki zimą, więc wtedy, gdy dużo jest wolnego czasu, a teatr wszyscy tak lubią, że nieraz chłop 8 km. idzie górami, zaspami, zamarzłą rzeką, byle przyjść na próbę. Próba skończy się o 10 wieczorem, trzeba mu wracać nocą do domu, a mimo to niema, żeby na próbę nie przyszedł. Musimy tylko nieraz czekać, jak paru aktorów zawieja złapie w drodze.

Tu p. Korybutiak uśmiechnął się.

— Czy potrafią wszyscy nauczyć się roli?

— Większe role dostają zdolniejsi i uczeńsi, tacy, którzy mają po kilka oddziałów szkoły powszechnej. Gramy bez suflera. Każdy umie całą sztukę napamięć i jeśli się kto potknie, to mu drugi podpowie. Ról uczą się w domu przez zimę, albo i na próbach, bo są u nas aktorzy, nie umiejący ani czytać, ani pisać. Ja nawet wolę, jak się na próbach uczą, bo wtedy odrazu przyswoją sobie gesty i spamiętają sytuacje.

— W ten sposób próby muszą trwać bardzo długo?

— Naszą premjerę „Huculskich Zbójników przygotowywaliśmy przez 4 miesiące. Spoczątku graliśmy tak, jak napisał Korzeniowski, potem spostrzegłem się, że to trudno idzie, że to nam nie jest swojskie, więc przerobiłem: wstawiłem nasze obrzędy i zwyczaje, nasz taniec „opryszkowski" — „arkan", zabawy przed karczmą, śpiewki, scenę żałoby. Z trudnością w przedostatniej odsłonie, kiedy dostaje obłędu Paraska, tak sobie poradziłem, że dałem jej śpiewać żałobne słowa, ale na melodję pieśni weselnej.. Idzie przez scenę, płacze, rozpuściła włosy i śpiewa. Jak przyjdzie ta scena, to u nas niejeden naprawdę wytrze palcem łzę z oczu, a Paraska sama bardzo się przejmuje.

— Kto gra Paraskę?

— Grają ją dwie. Teraz gra Anna Samokiszczuk. Ale my nietylko tę sztukę mamy. Jest jeszcze „Dobosz", historja o huculskim największym zbójniku, i „Noc Świętojańska".

— Czy to jest repertuar oryginalny, czy też pan tłumaczy sztuki na język huculski?

— „Noc Świętojańską" sam napisałem. Chciałem dać coś takiego, coby było najściślej związane z życiem Hucuła. Sztuka składa się z czterech części: 1) Kolędnicy; 2) Marzenie Hucuła; 3) Wróżbita; 4) Wiedźmy. Każda z tych części opiera się albo na zwyczaju, albo na legendzie. Najciekawsza jest druga, odtwarzająca spotkanie Hucuła z niauką.

— Z niauką? Co to, albo może kto to jest niauka?

„NIAUKI"

Przysiedliśmy na estradzie teatrzyku i oto zaczęły się baśnie. Najdziwniejsze, bo niemal prawdziwe. Huculi wierzą w leśne duchy. Widzieli je, słyszeli. Powiedzieć staremu Hucułowi, opowiadającemu o niaukach, że niauk niema, mogłoby go ciężko obrazić.

Niauki zjawiają się na połoninach. Wychodzą z lasów i wabią młodych junaków, pilnujących trzody. W lecie Hucuł wypędza owce na hale, sam buduje sobie „koszer", czyli szałas, i pozostaje w nim przez całą wiosnę, lato i jesień, póki jest w górach pasza dla trzody. Trzoda jest głównem bogactwem Hucuła, z mleka robi „prjetane mołoko", to jest sfermentowane mleko, trzymane w małych beczułkach drewnianych — w „berbenicach", z wełny owczej samodziałowe ubrania i barwne koce, zwane „liżnikami".

Na lato chłopak żegna się ze swoją dziewczyną. Mija miesiąc, mija drugi — coraz bardziej go gnębi tęsknota. Wtedy, wieczorem, gdy siedzi przy ognisku, zjawia mu się niauka. Ma postać jego ukochanej, nawiązuje rozmowę, wkońcu spędza z nim noc. Jest zwodniczo piękna, ale stylu wlecze za sobą wyprute wnętrzności.

Niauki mają drobne, dziecięce stopy. Na jasnem, świeżo korowanem drzewie widać mały, czarny odcisk stąpnięcia niauki.

Charakterystyczne, że nawet żydzi, mieszkający w Żabiem, mówią, że widzieli niauki. W Krasnoile jest Hucuł, który przez niaukę stracił rękę. Wypasał trzodę na połoninie, a że był niedawno zaręczony, tęsknił za narzeczoną. Któregoś dnia narzeczona odwiedziła go w górach, rozmawiał z nią, chociaż jego towarzysz nic nie widział i nie mógł się nadziwić, z kim też on mówi. Niauka zaczęła przychodzić do kołyby. Zaniepokojeni junacy dali znać do wsi, że jednego z pasterzy opętała niauka.

Sprowadzono opętanego do doliny, narzeczona w żywe oczy mu zaparła, jakoby miała przychodzić na połoninę. Nic to nie pomogło, nie poradziło też, że ojcem narzeczonej był pałamar (zakrystjan) miejscowej cerkwi. Niauka przychodziła w nocy nawet do chaty w dolinie.

Pewnego ranka usłyszano skwierczenie mięsa w ogniu. Po izbie roznosił się swąd spalenizny. Opętany przez niaukę leżał zemdlony na ziemi, a rękę trzymał w piecu. Kiedy go ocucono, opowiedział, że w nocy była u niego niauka, schwytała mu rękę, wsadziła do pieca i trzymała tak silnie, że mimo bólu nie mógł jej wyrwać z płomieni.

Rada w radę postanowiono poświęcić kule. Raz gdy wieczorem opętany rzekł, że niauka przyszła, w puste miejsce koło niego wystrzelono 6 poświęcanych kul. Niauka zarżała i uciekła tak gwałtownie, że aż się sypnęła słoma z dachu. Opętany ozdrowiał.

Raz w rok, w miejscu zwanem Foćna, niauki schodzą się doić. Huculi zbierają płaty piany na wodzie, rozbijającej się o skały i z tego „mleka niauk" robią ser, mający być lekarstwem dla krów.

— Czy doprawdy wiara w niauki jest tak żywa?

— Oho! — odpowiada p. Korybutiak — zaraz mogę panu sprowadzić dziesięciu takich, co widzieli ich ślady. Choćby z mego zespołu.

Podchodzi do nas młody, urodziwy Hucuł, w czerwonych spodniach, w wyszywanym kożuchu, w kapeluszu czarnym z kolorową krajką i piórem.

— Widział pan ślad niauki?

— Tyci, maleńki. Na drzewie korowanem, jak palcem przycisnąć, zaraz to miejsce sczernieje. Tak samo, jak niauka stąpnie, zostawi czarny ślad dziecinnej stopki. Dużo było śladów, widać uciekały przed dykunem.

„DYKUN"

— A któż to jest dykun?

— Wróg niauk. Leśny człowiek. Nazywamy go czuhajster albo czystec. Cały obrosły jest sierścią, mieszka w lasach i poluje na niauki. Żywi się ich pieczonem mięsem.

— A na ludzi nie napada?...

— Nie!... Ludzi ratuje i wyprowadza z lasu, jak niauka zacznie zwodzić. Gdyby nie pomógł, niauka mogłaby z człowieka krew wypić.

— Widział pan dykuna?

— Widzieć nie widziałem, ale słyszałem, jak krzyczał. Raz go jeden z naszych zobaczył, jak przysmażał sobie mięso z niauki.

— Czy pan myśli — wtrąca Korybutiak — że na tem koniec dziwom Huculszczyzny? Nie pił pan jeszcze „matryganu", czarodziejskiego napoju z korzenia mandragory, ani pan nie widział zamawiacza gradowych czarów. Są tu w Żabiem stare babki, co potrafią chmurę odwrócić. Więc — jeśli my to wszystko inscenizujemy w naszym teatrze, to Hucuł nie przymusza się do roli, jest prosty i naturalny, jest sobą.

KOLEJĄ PIERWSZY RAZ W ŻYCIU

— Grali może panowie przed obcą publicznością?

— Pierwszą publicznością, której się baliśmy, był starosta. Próba generalna trwała od 4-ej rano do 11-ej w nocy. Szczęśliwie teatr spodobał się i dzięki staraniom starosty i Tow. Przyjaciół Huculszczyzny wysłano nas w świat. Do Warszawy, Torunia, Bydgoszczy. Było to wielkie wydarzenie. Do zespołu należeli przecież tacy, którzy nigdy w życiu koleją nie jechali. Stali oni cały dzień i całą noc przy szybie i nie mogli się dość napatrzeć. Warszawy, z jej ruchem ulicznym, domami, gmachami nie mogli wprost pojąć.

— Kiedy poszliśmy na audjencję do Prezydenta Rzplitej, była taka wśród nich cisza, jak w kościele. Kobiety całowały Prezydenta w rękę. O — i najważniejszego zapomniałem powiedzieć. Byliśmy w Warszawie na 3-go maja. Dla Hucuła Polską, państwem była do tej pory conajwyżej Kołomyja, starosta, policjant. A tu zobaczyli uroczystą defiladę wojska w stolicy. Jakże oni patrzyli, jak im serca biły! Jak pokrzykiwali z zachwytu! Nogi się pod nimi uginały z przejęcia. Wtedy zrozumieli...

— Co?

— Co to jest Riez Pospołyta.

— — — — — — — — — —

Tego samego dnia wieczorem teatr huculski przyjechał do Worochty. Byłem na przedstawieniu. Cóż tu wiele pisać... Mówiąc z górną przesadą, ręce mam jeszcze od oklasków napuchłe, mówiąc zwyczajnie i szczerze — przyjeżdżajże do nas, huculski teatrze.

*) Żabie — wielka osada huculska, niedaleko granicy rumuńskiej, 10 tysięcy mieszkańców, położona w odległości około 30 km. na południowschód od Worochty.

Marja L. Krüger

Pamiątka z Częstochowy

Ochwiarowali się.
Za te grzechy żałować.
O łaskę prosić.
O zbawienie.
O zmiłowanie.
O próśb wysłuchanie.

Z parafji — kompanja do Częstochowy idzie. Na Jasną Górę. Moc, moc narodu. Wsioscy i z samego miasteczka.

Raczkowa, stara, głucha. Firkowa, ta pyskata. Pietrzyna — co dzieciaki jej się nie chowają. Sklepikarka z rynku — bogata. Władka — co za nią chłopaki latają. I Genowefa - kalika, jak ten patyk sucha. Wszystkie idą.

Te z bractwa też. Ważne takie są, choć pokorniuśko gadają. I — „Siostro" — jedna do drugiej powiada. Ale wiadomo — na śpiewach, na litanjach, na godzinkach znają się, jak i sam kościelny.

Chłopy też idą. Mniej ich, niż kobiet. Z młodych to: — Felek od Pietrzaków, Bolek, co go połamało, Franek, ten starszy z Kopińszczaków, Kaźmirz, co mu oko zbielało.

A ze starych — to z bractwa i różne inne.

Na przedzie zakrystjan. Prowadzi. Krzyż niesie i śpiewa. Przez ramię sznur. Na sznurze róg wielki, prawdziwy, do trąbienia. Na wiernych. Na siostry, na braci. Jak się na wypoczynku rozlezą.

Przy samym zakrystjanie, po bokach obu — anioły dwa z feretrona. Idą — chłopaki dwa. Dorosłe. Włosy jasne, zczesane na bok, kręcące się. A na chłopakach — komeżki. Bieluśkie z koronką. Na komeżkach zaś, na samych piersiach — najpiękniejsze kokardy ze wstążki czerwonej. Złotą tasiemką po brzegach obszyte, a końce długachne. Z komeżką równo spadają, złociutką frendzlą błyszczą.

Daleka droga. Od śpiewania, od kurzu w gardle zasycha.

— Witaj Matko szlachetna w Panieńskiej czystości!

— Domie złoty, módl się za nami.

W kaplicy gębą grzeszną do podłogi przypadać. Czołem do kamieni. Z wzdychaniem głośnem w piersi się walić. Za te grzechy. Wzdycha Raczkowa, Firkowa i Władka, co za nią chłopaki latają.

— Bądź miłościwa, Panienko. Kaźmirzowi — za lice, co żydowi wziął.

Walentowi — że chla.

Zmiłuj się nad nami.

Niektóre znów — to nic, tylko oczy w górę, a ręce złożone równiuśko. Jak na świętem obrazie. Tak się modlą. Leokadja, Walera i zakrystjan Antoni. O zbawienie, o losu polepszenie.

Po mszy — śpiewanie. Głośno, jaknajgłośniej.

— O Jezusie, o Maryjo!...— śpiewa niebo całe, śpiewia ziemia cała.

I jeszcze śpiewać, i jeszcze, i jeszcze. Litanije i godzinki.

Ojciec Paulin od ołtarza ręką macha. Cicho — Msza następna wychodzi.

Milczy już zakrystjan Antoni i Genowefa — kalika i sklepikarka, co sklep ma przy rynku. To już teraz tylko patrzeć a modlić się. Patrzeć — obraz złocisty najcudowniejszy. Wotów tyle. Kule od kalik, połamańców uzdrowionych. Na kratach wiszą. I kajdany olbrzymie, co z niewinnie skazanego spadły.

Ano, już. Już po nabożeństwie. Z kaplicy wychodzić. Poprzez podwórko klasztorne, przez bramy przeróżne kompanja idzie.

— Pod Twoją obronę.

Jakże po tem wszystkiem nie płakać? Mężczyzny — to nic. Ale baby? Pietrzyna rozdygotana nosem pociąga, w głos beczy Firkowa pyskata, Walera we łzach cała. A te łzy lecą na „osobę", co w chustkę zawinięta, jak dziecko — u Walery na rękach. Gipsowa Panienka w płaszczu niebieskim. Do święcenia. Okutana, pookręcana szmatkami.

Z kaplicy — musowo do stacyj iść. Przed każdą choćby przyklęknięcie. Przed Panem Jezusem Biczowanym i pod Krzyżem Upadającym.

Za murami, za klasztorem, już na łące zielonej — to popłakiwanie skończone. Teraz każdy, aby lecieć, aby jeszcze co zobaczyć.

A jakżeby do Barbary świętej źródła nie pójść?

Przez aleję drzewami wysadzaną, kamieniami brukowaną. Między straganami co są z obrazami i ze świętościami. A po drodze — buteleczkę kupić. Na te wodę cudowną. Jak kto biedny — to zwyczajną, od manopolki sznurkiem przewiązaną. Co bogatsze — to znów szklaną, płaściutką, kolorową, z obrazkiem, z korkiem.

Przed źródłem — woda w kubełku. Stara baba blaszanym kubkiem odmierza. Do kubka pielgrzymskiego, co na sznurku u pasa wisi, nalewa. Wolniuśko, wolniuśko się pije. Na zdrowie pomaga, grzesznego uświęca. Genowefa — kalika dwa razy w kubek nabiera.

Módlmy się, módlmy się.

Pije Bolek połamany, i Franek — chłopak malowany i Walera krościata i Józefowa bogata.

O święta Barbaro!

Potem — między stragany. Mentaliki srebrne, co nie zczernieją przenigdy. Na kokardkach różowych — celuloidowych — powiada straganiarz. Na kapotach się przypina. Będzie po dwa grosze za szkaplerz? Nie, nie będzie. Po trzy grosze szkaplerze. Dla babki, dla Józki, dla Leona, dla Kupasowej. Garścina, ta spod kościoła — o koronkę prosiła.

I różaniec. Aby mocny. Do umodlenia za grzechy przebaczenia. Obrazek musowo z Częstochowską. Skarbonkę. Korale niebieskie i kogutki piszczące. Lustro z napisami. Różaniec z ciasta wypieczony, krzyżem zakończony. Widoczek na ścianę. W ramkach z kolorowego piasku błyszczącego.

Po straganach. Po zakupach. Siostry z bractwa, bracia z bractwa i zwyczajne ludzie.

Tuż pod górą, pod samą górą, na zielonej murawie — o, rety. Lody białe - śmietankowe i różowe - malinowe. Za piątkę.

Liże Walera i Władka, i Firkowa, i sama sklepikarzowa.

Już — wylizane, posmakowane, zapomniane.

A teraz — kto nerwowy, kto sercowy? Zakrystjan Antoni. Pieniądz duży dwadzieścia groszy. Za to rurkę z czemciś czerwonem w lewem ręku potrzymać można. Cosić czerwone skacze i do góry się podnosi. Słabość sercowa widoczna. Tak przyrząd lekarski wykazał i pokazał co wiedzą naukową stwierdzone. Nie wiecie, kiedy waszej śmierci godzina. Ale w niebie jest zapisana.

Niebo jest nad ziemią jedno. A drugie na płótnie wielgachnem. Płótnie do fotografji. A razem z niebem Jasna Góra wymalowana jak żywa. I posąg ks. Kordeckiego. A nad nim, na tem właśnie niebie litery stoją: — ks. Kordecki obrońca Jasnej Góry. I jeszcze jeden napis na niebie: Pamiątka z Częstochowy. A pod murami klasztornemi, czerwonemi — Szwedy. Też malowane. Z armatami, pałaszami. Kule lecą i krew płynie z ran. W murach tych klasztornych dziury wielkie. Ktoby nie chciał? Ktoby nie chciał? Na pamiątkie. I Felek od Pietrzaków, i Franek starszy z Kopińszczaków. Zośka dziobata i Józefowa. Łby w dziury wtykają. Że niby w murach siedzą. W obronie Częstochowy uczestniczą. Amen.

Raz, dwa trzy. I cierpliwie potem na ławce posiedzieć. Różne kartki a papierki fotokraf we wodzie albo czemciś moczy. To ci dopiero — już fotografja gotowa.

Teraz już nazad. Pielgrzymka spowrotem. Kawał, kawał drogi.

O Częstochowska Panienko.

Idą mężczyzny, idą kobiety.

Jakby dzieciątko, jakby dzieciątko — „osobę" w chustkę zawiniętą niesie każda. Albo i dwie „osoby". Po jednej na każdej ręce.

Raczkowa stara, głucha. Firkowa, ta pyskata, Pietrzyna, co jej się dzieci nie chowają. Sklepikarka z rynka, bogata, Władka co za nią chłopaki latają. I Genowefa - kalika, jak ten patyk sucha.

A na plecach słońce — nie słońce. Lustro zawieszone, w Częstochowie kupione. Z napisami, z literami. Na wieczyste pamiętanie. Sprzęt drogocenny.

Adolf Nowaczyński

Półrocze Akademji Nieśmiertelnych

SZCZĘŚLIWA, I NIESZCZĘŚLIWA RĘKA

Kasztelan Wężyk, fundator Akademji Krakowskiej, miał szczęśliwą rękę. Instytut, powołany przez niego do życia, rozwinął i rozbudował się wspaniale. Jak cieszył się, tak i cieszy nadal ogólnym mirem i szacunkiem nietylko wśród obcych, ale, co jeszcze trudniejsze, i wśród swoich.

Były premjer Jędrzejewicz nie miał szczęśliwej ręki. Może miał dużo „dobrej woli", zapał twórczy, ambicję stworzenia czegoś wielkiego, trwałego i pięknego (desint vires, tamen est laudanda voluntas) i zapisania swego nazwiska w kronikach. Ale cóż, nie miał szczęśliwej ręki w doborze doradców, gorączkował się, spieszył, dał się powodować dość zajadłemu partyjnictwu, no, i w rezultacie definitywnym pozostawił po sobie w spadku cały szereg poronionych noworodków, z którymi teraz nie wiadomo co zrobić. Nieudała reforma szkolna, nieudała reorganizacja ustrojów uniwersyteckich, nieudałe rugi kilkunastu uczonych, nieudały „Legjon Młodych", „Zrąb", „Kuźnia", no, i wreszcie korona tej lichawej radosnej twórczości: Akademja Literatury.

DOM KALEK

Można było łatwo te wszystkie fiaska przewidzieć, obserwując z boku nie licujący z powagą zamierzeń, nerwowy pośpiech, z jakim na gwałt i z rękawa improwizowano instytucję, której każdy szczegół powinien był być przedtem głęboko obmyślany i wszechstronnie obdyskutowany nie bez kurtuazyjnego pośrednio zasięgania rad nawet u antagonistów tego pomysłu. Przedewszystkiem jednak godziło się omówić per longum et latum kwestję najpryncypalniejszą, to jest kategoryczność potrzeby takiej Akademji w danym momencie i przy danych konjunkturach. A dalej, czy przy preliminowaniu na ten cel tak minimalnych funduszów dotacyjnych może być mowa o jakiemś podnieseniu w społeczeństwie autorytetu i prestiżu piśmiennictwa? Tymczasem potraktowano zastrzeżenia opozycji, jako impoderabilia i liberum veto nieuleczalnych malkontentów. Poczem przyjęto z rąk rządu raczej jałmużnę (na odczepne) i w kilka tygodni sklecono pośpiesznie Aeropag, który już po pierwszych początkach okazał się rodzajem Prytaneum, żeby już nie powiedzieć „Domem Kalek", i w terminie stosunkowo wcale krótkim przyczynił się, niestety, nietylko do obniżenia prestiżu piśmiennictwa, ale do grubego ośmieszenia dobranej w niefortunny zespół elity pisarskiej.

Nic bowiem dotychczas nie zdyskredytowało tak naszego świata pisarskiego w oczach najpierw sfer rządzących, a następnie szerokiego, dziedzicznie i upornie antyintelektualnego ogółu, jak szereg dotychczasowych zetknięć tej galerji nieśmiertelnych ze światem zewnętrznym. Przedewszystkiem zaś dwa galowe posiedzenia uroczyste, to jest inauguracja w Warszawie i pierwszy występ delegacji w Paryżu. Będziemy się starali omówić te bolesne sprawy jaknajspokojniej bez awersyjnej zaciętości, omijając nawet pewne całkiem przykre informacje, oszczędzając nieszczęsnych elektów, ale suum cuique oddając.

NIEZNANY PISARZ

Pewne względy należą się wyjątkowo nawet głównemu mizjatorowi. Ten pan Kaden bowiem ostatecznie zrobił, co mógł, a więcej, niż się zobowiązał. Nie można nie podziwiać niespożytej, upornej, zapiekłej energji tego człowieka małego formatu, któremu Przeznaczenie (Destiny) każe być osobistością do pewnego stopnia „historyczną". Mając nieprawdopodobny do czytelników pech, jako pisarz, chronicznie nieczytany, niepopularny, „nieznany pisarz" nie poddaje się dzielnie przeciwnościom i niedoli, ale odbija to sobie, rozwijając niespożytą imponującą działalność, jako aranżer, mówiąc jego gwarą, „macher" literacki, jako protektor, popularyzator, organizator. On to podjął ideę Akademji, pojmując ją słusznie, a raczej cwanie także, jako instrumentum regni, jako jeden z podręcznych środków czy środeczków presji i sugestji „sanacyjnego" regime'u. Kiedyś przed wojną „odkrywcą Akademji był nasz dożywotnio czarujący Wacio Grubiński, który, gdy tylko dowiedział się o tem, że w Paryżu jest nietylko Panteon, Houbigant, Trocadero, ale i „L'habit Vert", koniecznie chciał „takiesamo" mieć w Warszawie, głównie jako temat konwersacji dla „five o-clockow" i „jour fixów".

Conieco o kilkanaście pięter doroślej i poważniej, oczywiście, traktował ten kardynalski (sic!) wynalazek nasz dożywotnio bohaterski, w wielu bitwach bywały, w kopalniach i w hutach ogorzały legjonowy Szwejk. Z prześladującej go niepopularności u czytelników, u swoich i w inteligencji, postanowił raz na zawsze pozbyć się i wykurować, zorganizowawszy sobie bractwo wzajemnej adoracji, któreby podparło i jego wysychający splendor w rządzie i w elicie, a samo też na tem skorzystało sowicie. W miarę sił i środków wywiązała się z tego biedaczyna (chora na przerost gruczołów ambicji) summa cum laude. Chodził i deptał aż wydeptał, wyprosił, wyjęczał, wynudził. Kto wie, jak nasza „wierchuszka", przeważnie samouczkowa, niedokształcona, prymitywna boi się zażenowana swem prostactwem, instynktownie intelektualistów, ten nie będzie szczędził Kadenowi komplementów za naciągnięcie takiej „Jelity" choćby na tak minimalną forsę. Ci panowie są jeszcze w tej fazie kulturyzowania się, że na razie egzaltują się tylko, mówiąc po galicjańsku, „szportami", wentualnie konkursy hippiczne, opera (Puccini) rewje, kino (Pat i Patachon). Ileż to wykładów i prelekcyj prywatnych musiał im „trzymać" ten wysoce utalentowany i bądź co bądź kulturalny mieszczanek krakowski, aby dostojnym a niekiedy przystojnym sierżantom wytłumaczyć „w czem rzecz". Ale swego dokazał. Wreszcie udało mu się przekonać naszych z Shawa i O. Straussa „Bohaterów" („Arms and the Man").

SYRENA ZAWISTOWSKA KUSI

Literatów skonkwinkować przyszło mu znacznie łatwiej. Species poślednia (Wielcy wymarli!) bywa przeważnie kokocio próżna. Pustą to ma kasę a na ordery łase. Camille Mauclair latami na Akademję urągał, a potem błagał, by go wpuszczono. Jeden z autorów L'Habtt Vert" także. I Pailleron w „Świecie Nudów", i stary Daudet w „Les Immortéles opisują przez jakie drżączki i transe przechodzą kandydaci na Akademików, byle już tylko dostać się do środka, a nie stać latami pod drzwiami. W Paryżu! Cóż się więc dziwić takiemu jednemu i drugiemu naszemu gryzipiórkonikowi, czy głodomornikowi o „sławie", sięgającej od Wisły do Brdy i Bzury, że się „załamał" (?) i dał skusić Syrenie Zawistowskiej (agentowi do specjalnych poruczeń), rozjeżdżającemu się po kraju z najmiłościwszemi propozycjami od Annasza do Kajfasza, od Leśmiana do Irzykowskiego, od Nałkowskiej do Iłłakowiczówny. Toż tu Kato z Utyki byłby się potknął i nie opierał, tembardziej, że Katonowa zalegała od kwartału z czynszem dla kamienicznika. Pozałamywali się więc galopem wszyscy; z Brześciem żaden doktryner ordynarnie nie wylazł; agentowi Zawistowskiemu cała robota poszła po myśli, po maśle. A gdyby było jeszcze sto foteli wolnych i sto zaliczek obiecanych, to z biedy i z bryndzy, z próżności i ambicji poszłaby i cała reszta, czekająca pod drzwiami. Tylko Świętochowski i może Zdziechowski byliby „Rosencavaliera" kazali poprostu wyrzucić. Pozostałe za nawiasem „wolne duchy", „sól ziemi", pasterze i pastuchy narodu, myśliciele i klerki czekają tylko na swoją kolejkę, gotowi narazie kontentować się choćby temi „wawrzynami", które dla następnych w kolejce, w ogonku zasłużonych kazał „cwaniakaden", jako nagrody lojalności, swoim elektom jednogłośnie uchwalić.

Zaczem raz jeszcze i to całkiem serjo: w bojach o Akademję osiwiałemu rycerzykowi Kadenowi cześć! Cześć i salut! Co do niego należało, wszystko w porządku. Reżyser doskonały! Inspicjent, jeno niżej krytyki. Dlaczego? Dlatego, że dobrze wiedząc, jak trupa zalatuje, może nietyle trupiarnią, ile jednak nieco szmirą, więcej powinien był nad tem czuwać jakie role kim obsadzone i kogo na scenę do popisu przed narodem dopuszcza. Bez kontroli, bez generalnej próby nie wypycha się na front lokalne, nadwiślańskie celebritety naftalinowe do koteryjnych trociczek przyzwyczajone.

MOWA MIANA

Inauguracyjna „mowa miana", wystękana przed Prezydentem Rzeczypospolitej ku niepomiernemu wstydowi literatów, a ku złośliwej uciesze sierżantów, adjutantów, eufermów i ministrów (zniewolonych do słuchania bajek w godzinach brydżowych) ta kompromitacja pierwsza, ale wystarczająca — powinna była jednak inspicjenta i kontrolera Akademji nauczyć, jak należy być ostrożnym, krytycznym w doborze conferenciera przed Prezydentem Republiki i Europejcykami z „College de France". A tymczasem nasz sekretarz generalny, Cwania - Kaden, powodując się względami na chimeryczną legendę Miriam Przesmyckiej—powierzył wygłoszenie „Laus Adama" naszej dziś już nawet nie efektownej Mumji, nie tyle zatabaczonemu, ile zacygarowanemu dziwadłu, nie liczącemu się z parafjańska ani z czasem, ani z przestrzenią, ani z audytorjum, ani z momentem. Firma Miriam wogóle zawsze za najlepszych czasów była nieproporcjonalnie rozdęta. Całkiem przeciętny, przeważnie kiepski poeta, sumienny i dość zgrabny tłumacz, ale niezwykle płytki, nie oryginalny, eklektyczny, z drugiej ręki esseisty. Że za fundusze hojnych Hoenów wydawał piękny miesięcznik, więc zaraz przesadna estyma u kolegów dla pisarza nie konkurencyjnego i nie zawadzającego w walce o byt. Swego czasu zdemaskował Miriamowy sybarytyzm, feljetonowość bluff essecki, imponujący „Warszawie". St. Brzozowski, który na jednej stronie swego choćby najhaotyczniejszego studjum literackiego więcej wyprodukował i rozsiał myśli, niż Miriam Przesmycka przez cały żywot lub w „najkapitalniejszem" swem studjum, t. j. parergach przy Norwidzie, którego, nawiasem mówiąc, znacznie wcześniej przed Miriamem „odkryli" Faleński, Gomulicki... Krechowiecki.

CWANIA-KADEN WIEDZIAŁ

Chytreńki Cwania-Kaden wiedział o tem wszystkiem tak dobrze, jak i my wszyscy. Jako Galicjakowi atoli okropnie imponowało, że Przesmycki nie pracuje w prasie na chleb, ma olbrzymią bibljotekę i pali drogie Havanny. Taka Miriam musi być klejnotem i splendorem Trupy Nieśmiertelnych. I taka Miriam, w sędziwym wieku owiana legendą wyrafinowanego konesera Piękna (poławiacz piereł) dobrze się może wydać w Paryżu na ambonie w College. No i przyszło stulecie „Pana Tadeusza". W Warszawie na uroczystości, urządzonej przez Akademję, miał miejsce pierwszy skandal, bo poprostu nikt nie przyszedł, i wyfraczone nieboraki z gwiazdami, wielkości tacy, gadali do vacuum i do woźnych. W Paryżu zaś na obchodzie uroczystym było pełno, i był Prezydent Lebrun z orszakiem, i Chłapowscy, i Polonja, i uczeni, nawet jakiegoś Rotszylda przytaszczył ten zabawny Mühlstein („radca"), nawet kilku francuskich literatów (III sorty) i reporterów. I wtedy, po wspaniałych, jak zawsze, krasomówczych, krótkich arjach Bediera, Marona. Doumica wlazł na estradę Przesmycki. Fizycznie w ostatnich latach już tylko typowy epicier, rentier, kamienicznik. Wyposzczony, bo lata całe próżniaczący półgrafoman, gadał kwadrans, potem pół godziny, potem trzy kwadranse, godzina, jeszcze, jeszcze. Grzdukał pretensjonalne piyciżny, sylabizował z kartek i szpargałów, poplątanych, ślinił się, jąkał, plątał, byki językowe i stylistyczne w nieskończoność. Prezydent Republiki siedział jak na torturach, ale spokojnie słuchając wodogrzmotu patetyzmów słowiańskiego imbecila. Polacy zawstydzeni coraz więcej, zmartwiali, skostnieli. Kilka pań polskich płakało ze wstydu. Sieroszewski - Wszędobylski dwa razy wskakiwał raźno na estradę mrucząc i błagając monomaniaka, żeby kończył raz wreszcie i wysypał resztę sieczki za okno. Ale stary stypendysta gimnazjum Heonowej zawziął się. On te swoje wypocone, symplistyczne brednie napuszone uważał za „objawienie". Najtypowszy warszawski mieszczuch teraz dopiero odkrył Europie prawdziwego Mickiewicza z jego najbardziej szlagońskiego arcydzieła. Kiedy skończył, Wersalczycy z Prezydentem bili brawo, więc i to stary cabochien wziął za sukces. Tylko Lechonie pono były blade, jak ściany a oficerowie nasi zaciskali pięście dusząc się wstydem za tego sarmackiego klerka, źle polakierowanego kulturą, nie liczącego się w centrum Europy (la ville lumière) ni z czasem, ni z przestrzenią, ni z „protocol" ni z Prezydentem. Nawet flegmatyczny Chłapowski był pono wściekły i nie taił swej „dezaprobaty".

ZAMKNĄĆ

Po tych dwóch skandalach przed prezydentami należałoby właściwie Akademję poprostu zamknąć. Źle się przysłużyli ojczyźnie. Kompromitują nas nietylko ento ale i ergo, nietylko na warszawskich śmieciach, ale i w Euroipe. W sześć miesięcy udało im się zdyskredytować świat piszących i przed władzami i przed społeczeństwem. Inteligencja sądzi i ocenia literaturę po tej trupie i zaczyna mieć ją w coraz mniejszej estymie. Jeżeli takie luminarze, takie okropne wielkości, jak ta Miriam i ten Berent, robią na pułkownikach i porucznikach wrażenie „najnudniejszych bęcwałów", „aptekarzy na weselu". „organistów", to cóż mają sądzić dopiero o pisarkach minorum gentium lub o skrybach nawet niedopuszczonych do Akademji. I pułkowniki mają pół-racji. Druga połowa racji jest przy nas proponujących rozwiązanie Akademji i porozsyłanie „Członków" do domów, w teren, karnie, na prowincję. Narazie jak dotychczas zasługi Akademji są czysto negatywne. Mieli mieć „pieczę nad językiem" i jego czystością Z tej pieczy wywiązują się fatalnie. Niedawno „Robotnik" wywlókł i wyiskał z jednego artykułu jednego Nieśmiertelnika kilkanaście rusycyzmów i germanizmów wprost horendalnych. Sam położniczy akuszer i sekretarz pisze powieści gwarą galicyjską, a orędzia do narodu argotem z gramatycznymi bykami. Sieroszewski prezes w dorobku powieściowym to compendium złej zruszczałej polszczyzny, w akademickich enuncjacjach: „pieśnią broniliśmy nasze istnienie". „podniecająca pieśń Rozy Wenedy". Takie wzory i mentory są do chrzanu i na szmelc. Polszczyzna Berenta w ostatniej jego powieści, toteż falsyfikat stylistyczne zatwardzenie.

NA 44 WIATRÓW

Akademja wogóle potrzebna nie jest. Im także. Za 50 złotych od spektaklu trudno żeby się wypuczali w pożyczanej sali, bez zielonych fraków i bez szpadek. Tacy jak Zieliński i Rostworowski, a z drugiego brzegu Żymowski i Rzeleński (pisownia akademicka) i bez „mów mianych" przez Berenta lub Mirjamkę rady sobie dadzą i nadal twórczymi będą. Irzykowski zaplątał się, zagubił, stracił „Pion", gotów do I. K. C., narazie go niema, odżyje może, jak wystąpi, albo ich rozpędzą na cztery, względnie czterdzieści cztery wiatry.

Nie należeli do Akademji: Beaumarchais, Stendhal, pani Stael, pani Sand, Benj. Constant, Balzac, Musset, Murger, V. Hugo, Flaubert, Goncourtowie, Zola, Maupassant, Mallarmé, Baudelaire, Verlaine, Daudet, Rimbaud, no, i wszyscy, co najciekawsi.

Niema żadnej Akademji Nieśmiertelnych Anglja, Ameryka, Rosja, Skandynawja etc.

Najwięcej tak u nas, jak we wszystkich językach świata, tłumaczy się z literatury angielskiej, amerykańskiej, rosyjskiej, skandynawskiej.

Mamy Akademję i Akademików, a tymczasem poczytność i popularność literatury polskiej zagranicą (za wszystkiemi granicami) nietylko nie wzrosła ani o milimetr, ale kurczy się z każdym rokiem i z każdym miesiącem. Nie było żadnej propagandy przed r. 1918, a szli w świat Sienkiewicz i Reymont. Przyszła wytężona, kosztowna, hałaśliwa propaganda i towarzystwa „Amis de Pologne", i Różyczki, i tłumaczenia błagonadiożnych autorów, płatne z funduszów dyspozycyjnych, z płatnemi recenzjami, a ekspansja polskiej twórczości literackiej nie wykazuje mikroskopijnej zmiany na lepsze. Czytani są teraz za granicami nadal... Ossendowski i Goetel. Kadeta upartym narodom europejskim ani wyperswadować ani wtłoczyć do rąk się nie udaje. Opada zaciekawienie dla naszej produkcji już nietylko w Niemczech, ale nawet w Bułgarji i Jugosławji, nawet w Czechosłowacji, która jakiś czas objawiała wcale żywe i gorące zainteresowanie dla naszego piśmiennictwa. Piszą o tem zobojętnieniu i cyfrowo je udowadniają Al. Guttry i Jan Muszkowski („Książka Polska Zagranicą"), no, i sumiennie analitycznie, szczegółowo referuje to niestrudzony badacz-specjalista, Piotr Grzegorczyk, w swej „Literaturze Polskiej Zagranicą". Nawet w rządowym „Kurjerze Porannym' denerwuje się tym fatalnym stanem, spadkiem... (po Jędrzejewicza?) rządowy polonista Stefan Rygiel. Nie pomagają i nie zaradzają temu ani „Towarzystwa Przyjaciół", ani opłacani recenzenci, ani opłacani tłumacze. Europa gotowa się zaciekawić nawet autorami z... Liberji, ale autorami w... liberji, alimentowanymi, subwencjonowanymi, fundowanymi, autorami pod kuratelą, autorami „na baczność" interesować się nie chce, nawet jeżeli noszą gwiazdy przy frakach, nawet gdyby przypasali szpadki, o czem marzy w swych feljetonikach paryskich ten, jak się rzekło, „pisarz nieznany", a znany za to Cwania-Kaden...

LUXUS A NON LUCENDO.

Jeżeli zaś nadal mamy tolerować ten luxus a no c lucendo, ten raz po raz nas kompromitujący Synekurnik, marnujący nam kolejno do reszty tych do niedawna jeszcze jako tako produkujących Przeciętniaków, to nieodzowne jest, aby w najbliższym czasie dofundować do tego jeszcze Izbę Plastyków. Zasłużeni są chyba także, a przynajmniej nie będą nam wstydu robili „mowami mianymi" przed prezydentami.

Ceterum censeo Academiam delendam esse. Budę należy zamknąć, potem przewietrzyć, a za dziesięć lat może spróbować tej zabawki po raz wtóry.

Nie zebrało się z tego nawet materjału na jakąś dobrą komedję w stylu Paillerona lub Caillaveta i Flersa.

Małoż

W „ABC literacko - artystycznem" drukowali swe utwory i artykuły m. i. następujący pisarze:

Jerzy Andrzejewski, Władysław Arcimowicz, Jan Bajkowski, Stefan Balicki, Zygmunt Bartkiewicz, Edmund Bartłomiejczyk, Włodzimierz Bartoszewicz, Helena Boguszewska, Emilja Bohowiczowa, Jean La Bretoniere, Zdzisław Broncel, Jan Brzuza, Wincenty Burek, Eugenjusz Byrski, L. Całkosińska, L. F. Celine, Henryk Chmielewski Ignacy Chrzanowski, J. M. Chudek, Ludwika Ciechanowiecka, Adam Ciesielski (syn), Stanisław Cywiński, Adam Czartoryski (z Rokosowa), Tytus Czyżewski, Tadeusz Dzięgielewski, Miłosz Gembarzewski, Bohdan Gębarski, Wiktorja Goryńska, Władysław Jan Grabski, Jan Gralewski, Marjan Gregorczyk,, Piotr Grzegorczyk, Adam Grzymała - Siedlecki, Bohdan Guerquin, Kazimiera Iłłakowiczówna, Karol Irzykowski, Władysław Jabłonowski, Alfred Jesionowski, Aleksander Junosza - Gzowski, Janusz Kawecki, Bronisław Komierowski, Józef Kisielewski, Władysław Konopczyński, Jerzy Kornacki, Jerzy Kossowski, Piotr Kownacki, Ignacy Kozielewski, Marja L. Krügier, Bogna Krasnodębska - Gardowska, Tadeusz Kulisiewicz, Jerzy Kuncewicz, D. H. Lawrence, Felicja Lilpopówna, Bolesław Lutomski, Izabella Lutosławska, Jan Maklakiewicz, Kornel Makuszyński, Tomasz Mann, Marjusz Maszyński, Przemysław Mączewski, Klaus Mehnert, Tadeusz Miciński, Bolesław Miciński, Jan Miernowski, Stanisław Miłaszewski, Andrzej Mikułowski, Janusz Minkiewicz, J. N. Miller, Stanisław Młodożeniec, K. M. Morawski, Tadeusz Mostowicz, Axel Munthe, Stefan Napierski, Lech Niemojewski, Stanisław Niewiadomski, Roman Niewiadomski, Adolf Nowaczyński, Zygmunt Nowakowski, F. A. Ossendowski, Stanisław Ostoja - Chrostowski, Irena Pannenkowa, Giovanni Papini, Stanisław Piasecki, Antoni Piekarski, Mieczysław Piszczkowski,, Wiktor Podoski, Jan Pogorski, Tadeusz Prus - Faszczewski, Zygmunt Raczkowski, Jan Rembieliński, Marjan Reutt, K. H. Rostworowski, Lumir Rubach, Adolf Rudnicki, Andrzej Ruszkowski, Eugenjusz Schummer, Aleksander Sendlikowski, Mieczysław Skrudlik, Florjan Sobieniowski. Konrad Srzednicki, Jan Szczepkowski, Stanisław Szpotański, Karol Szymanowski, Zdzisław Stahl, Anatol Stern, Stanisław Stroński, Wiesław Strzałkowski, T. B. Syga, Władysław Tarnawski, Marjan Turwid, Milo Urban, Aniela Waldenbergowa, Wojciech Wasiułyński, Jan Waśniewski, Józef Weyssenhoff, D. Wyessenhoffowa, Jan Wiktor, Kazimierz Wilkomirski, Władysław Wolert, Antoni Wysocki, Wojciech Zaleski, Władysław Zambrzycki, Jan Zamoyski.

Michał Szymański

Z dziejów polskiej ceramiki

Stare są dzieje polskiej ceramiki, o czem świadczą cmentarzyska przedhistoryczne oraz wyrwane już ziemi urny i łzawnice. Zabytkami temi zajmuje się specjalna nauka — prehistorją zwana.

Dzieje polskiej ceramiki okresu historycznego rozpoczynają wyroby, służące do budownictwa, a więc płyty posadzkowe, tafle do zdobienia ścian i drzwi, i kafle pieców. Wymienione rodzaje przechowały się w ruinach różnych historycznych budowli np. w Czersku, na Wawelu, w Pieskowej Skale i w romańskim kościele św. Jakóba w Sandomierzu, posiadającym wspaniałe wytłaczane płyty m. in. w portalu.

Chociaż można przypuścić, że kaflarstwo istniało już wcześniej, jednak produkcję ozdobnego kaflarstwa należy przypisać dopiero XII wiekowi, stwierdzając pomyślny jego rozwój w dobie gotyku, renesansu i baroku. We wszystkich tych epokach panuje w kaflarstwie ornamentacja, która zależnie od smaku doby w jakiej powstaje zmienia swoje wyciskowe motywy, nie zawsze pokrywane glazurą. Barwa zmienia się również zależnie od epoki, będąc najpierw jednokolorową: zieloną, brunatną, lub niebieską, a następnie, z wiekiem XVII, przechodzi w dwu, a nawet wielobarwność. Najwięcej zabytków kaflarstwa zachowało się z wieków od XVI do XVIII w postaci pieców i pałacowych okaflowań ścian (m. in. Oświęcim XIV/XV w., Pyszków XVI w., Lipno XVI w., Kraków, kon. XVI w., Puławy pocz. XIX w. i in.).

Co od pewnej części tych zado XVIII w postaci pieców i pałacowych otaflowań ścian (m. in. Oświęcim XIV/XV w., Pyszków XVI w., Drohiczyn XVI w., Lipno XVIII w., Puławy pocz. XIX w. i in.). Co do pewnej części tych zabytków istnieją przypuszczenia, że nie całkowicie zostały wykonane w kraju, w którym jednak istniały już wówczas fabryki kafli np. w Krakowie, we Lwowie, Niepołomicach, Drohiczynie, Gdańsku — kafle starszej produkcji miały kształt lejkowaty i faliste ściany, w późniejszej zaś fazie rozwoju posiadały dno okrągłe i zewnętrzną powierzchnię kwadratową. Służyły wtedy nietylko do budowy pieców, lecz również — kapliczek przydrożnych, stając się dziełem, wynikłem z duchowych potrzeb ludu.

Już w XIV i XV wieku istniało w Polsce garncarstwo, a nawet podobno — i cechy garncarskie, m. in. w Wadowicach, Gombinie i Borku. W wieku XVI, zamieszkały w Krakowie Włoch — Antonio Destesi, przy pomocy Michała Tenduzzio i Klemensa Avecudo z Fawencji, na podstawie nadanego im w 1583 r. przywileju przez króla Stefana Batorego przystąpili do zorganizowania produkcji, która jednak nie wydała rezultatów. Naczynia fajansowe w sensie wyrobów polskich pojawiają się dopiero w wieku XVII. Za króla Stanisława Augusta, około 1772 roku, została założona za Jazdowem — w pobliżu Belwederu fabryka fajansu oraz majoliki, która, pod zarządem Bawarczyka Franciszka Józefa Teodora br. Schüttera, wyrabiała przedmioty dekoracyjne o barwach soczystych, utrzymanych w stylu rococo oraz w transpozycji chińsko - japońskiej, jak również naśladujące wyroby wiedeńskie, saskie, francuskie, holenderskie („Delft") o dekoracji kwiatowej, w barwie niebieskiej na tle kremowo - białem, lub białej na tle niebieskiem. Produkcja ta pod upadać poczyna od chwili wycofania się z fabryki króla w 1779 r., by około 1783 r. przestać zupełnie istnieć. Wyrobami fabryki były przeważnie wazony o kształcie kielichowatym, z brzuścem w środku kulistym, lub gruszkowate, z nakryciem przypominającem swym kształtem daszek pagody. Popularnym dziełem tej fabryki jest, z japońska ornamentowany, „serwis sułtański", złożony ze 160 sztuk, który wykonany w 1777 r. został przez króla przesłany w 1789 r. sułtanowi tureckiemu Abdul Hamidowi I do Stambułu, gdzie, choć zdekompletowany obecnie, przechowywany jest w Muzeum Starego Seraju. Tło serwisu białe, częścią niebieskie, ozdobione kwiatami chryzantem japonizowanych o barwie pomidorowo - czerwonej i złoconemi napisami (tureckiemi) oraz arabeskami.

W roku 1779 powstała artystyczna wytwórnia fajansów Bernardiego i Wolffa, wyrabiająca dzieła co do wartości równe Belwederskim. Fabryka ta, położona była na gruntach marszałka Bielińskiego w Warszawie (ul. Królewska); daty jej przetrwania nie da się bliżej określić, przypuszczalnie jednak istniała do końca wieku XVIII. Wyroby jej są znane pod nazwą „Wolffów". W tym czasie istniała również fabryka w Grąbnicach w pow. opoczyńskim, należąca do kasztelana łukomskiego Jacka Jezierskiego, która jakoby miała wyrabiać fajans na wzór angielskiego.



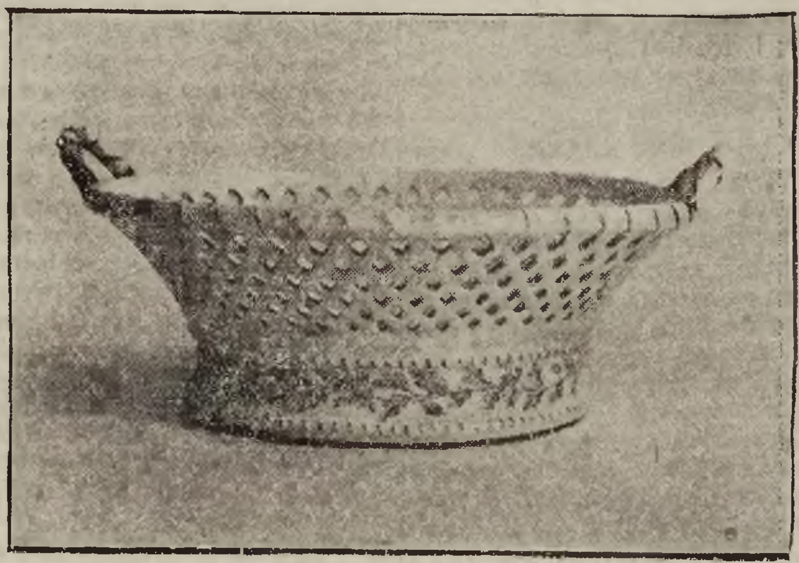
Wazon „Rococo" z król. fabr. w Belwederze — Wazon z fabryki Wolffa w Warszawie
(ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie)



Kafle z zamku w Oświęcimiu XIV — XV w.
(ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie)

W roku 1784, za sprawą ks. Józefa Czartoryskiego, powstaje w Korcu na Wołyniu fabryka fajansu, którą kierowali, pochodzący z Węgier, Franciszek i Michał b-cia Mezer, przy udziale malarza Sobińskiego. Po pożarze w roku 1797, fabryka została odbudowana dopiero w 1801 r., a jej rozkwit przypada na lata 1803 — 1815, pod kierownictwem francuskiem — Mérault'a i Petion'a, z Sevres. Fabryka z czasem zaczęła chylić się do upadku z powodu braku odpowiednich środków, przestała zupełnie istnieć w 1832 r. Jest to pierwsza fabryka u nas, która obok fajansu rozpoczęła produkcję porcelany (1790 r.), wyrabiając podobno i figurki „en biscuit" (francuska specjalność Sevres) oraz t. zw. Wegdwood (angielska specjalność). O wielkiej wydajności fabryki świadczy fakt, iż posiadała składy swych wyrobów w Warszawie, Konstantynowie i Berdyczowie.

Wyroby fabryk „Belweder", Wolffa i w Korcu były utrzymane na poziomie współczesnej im produkcji zachodnio - europejskiej, a obejmowały zarówno przedmioty sztuki, jak i codziennego użytku. Malatura ich była dość różnorodna. Belwederskie wazony bywały barwy białej, niekiedy niebieskiej, na których tle widniał najczęściej ornament egzotycznych kwiatków, barwnych motyli i rajskich ptaków, w kolorze karminowo - szafirowym, lecz bywało, że na ciemno - szafirowym szlaku wazonu znaczyły się czerwone arabeski, malinowe widoczki lub barwne chińskie krajobrazy. Bywały też i białe wazy, ozdobione wiązanką tulipanów i zielonemi kwiatkami. Talerze, ornamentowane chińszczyzną, posiadały szafirowe brzegi i środek przybrany złoconym kwiatem piwonji lub rajskiemi ptakami. Obok wymienionych, okres ten stwarzał i inne, większych rozmiarów przedmioty, które również zdobiła ornamentacja kwietna i figuralna w modnym wówczas stylu Ludwika XVI z niewielką przymieszką wzorów chińskich (Wolff). Wyroby fabryki w Korcu wzorowane były początkowo na obcych wzorach, potem francuskich z domieszką swojszczyzny; dekorowano przeważnie złotem. Ciemno - szafirowe i białe filiżanki zdobiły portrety kobiece, amorki na tle lasu, różyczki; kubki białe nosiły kwietne festony i złocone gałązki; sosjerki oprócz kwietnej ozdoby posiadały jeszcze bogate kanelowanie.



Porcelana korecka
(ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie)

Zapoczątkowana świetnie w r. 1790 przez Korecką Manufakturę z krajowej gliny fabrykacja porcelany, znajdowała licznych naśladowców. W 1795 r. powstaje fabryka Stanisława Kostki hr. Ordynata Zamoyskiego w Tomaszowie, prowadzona przez jednego z koreckich kierowników — Franciszka Mezera, która produkuje początkowo fajans, a od r. 1806 porcelanę, istniejąc do śmierci swego kierownika, t. z. do 1834 r. Fabrykaty tej pracowni są obok koreckich, jednemi z najlepszych w Polsce. Po jej upadku nabiera rozgłosu fabryka w Baranówce, założona w 1804 roku przez Adama i Józefę z książąt Lubomirskich Walewskich, a prowadzona przez drugiego z braci Mezerów — Michała. Produkcja jej odznacza się wartością artystyczną jedynie do połowy 19-go wieku. Około 1779 r. twórca fabryki koreckiej, Józef Czartoryski, założył w Horodnicy nową fabrykę, w której początkowo produkowano fajans, a od roku 1856 porcelanę, przy współpracy malarskiej Romanowskiego. W 1804 r. została założona przez kanclerza Jacka Małachowskiego w Ćmielowie, pow. opatowski, fabryka, która, zmieniając wielokrotnie właścicieli, przetrwała do naszych czasów, wyrabiając z początku fajans, później porcelanę i majolikę (fajans do 1882 r., porcelanę od 1842 r., majolikę od 1863 do 1880 r.). Rozwijająca się fabrykacja porcelany zaprzestała korzystać z wzorów, które lansowała produkcja fajansów. Zaczął się nowy okres produkcji — rzeczy raczej użytkownych. Wyroby te, straciwszy zewnętrzną monumentalność, zamieniłby ją na artyzm szczegółów, tworząc prawdziwe dzieła sztuki. Wyżej wspomniana Tomaszowska fabryka wyrabiała białe koszyczki, talerzyki żółtawe, przybierane szafirowemi wiankami kwiatów, białe filiżanki, wewnątrz złocone, z sepjowanemi potretami. Produkcję fabryki w Baranówce charakteryzowało bogactwo barw i kształtów w takich drobnych przedmiotach, jak: imbryczki, talerze. Horodnickie kubki w kolorze żółtym, cytrynowym, są zdobne czarnemi paskami i w dolnych partjach kanelowane. Bronzowe dzbany z wypukłym, malinowym ornamentem, talerzyki białe, z zielonym lub żółtym brzegiem. Imbryki przyozdabiają szaro - malinowo - żółte marmurki. Niebieskie i żółte doniczki ozdabiane alegorjami Djany, Zwycięstwa, Apollina i Sławy. Barwne figurki rozmaite, ze złoceniami filiżanki szafirowe, reprezentowały wyroby Ćmielowa. Spośród fabrykatów tego okresu, wyróżniają się jeszcze wyroby z Lubartowa (1840 — 1850) i Nieborowa (1880—1892). Wyroby lubartowskie posiadają dobrą formę, artystyczne wykonanie, nie ograniczają się do jednej gałęzi produkcji, obejmując fajans, terrakotę i kamionki. Nieborów rozwija produkcję na szeroką skalę i wychodzą z tej fabryki wspaniałe piece, wazony, naśladujące wyroby włoskie i francuskie i t.d.

Oprócz wymienionych powstało w tym czasie wiele innych fabryk o mniejszem znaczeniu, które choć nic nie wniosły do artystycznej produkcji ceramicznej, jednak zaznaczyły się w rozwoju historycznym polskiej ceramiki.

Omawiany okres, świetnego rozwoju ceramiki polskiej, trwał circa 70 lat, t. j. od r. 1772 do połowy wieku 19-go.

Wojciech Wasiutyński

Z duchem czasu

Zapiski porucznika Żarskiego

Numery choćby najpoważniejszych czasopism zbywa się w naszej prasie uprzejmemi i krótkiemi wzmiankami. Dlatego zapewne nie zdarzyło mi się nigdzie spotkać recenzji obszerniejszej z tego numeru „Niepodległości", w którym znajdują się niezmiernie interesujące, proste i przekonujące wspomnienia ś. p. por. Żarskiego-Radońskiego z pobytu w Banjaminowie. Obawiam się, że większość czytelników wogóle pamiętać nie będzie, co to był Benjaminów. Sława Szczypiorny czy Huszt przesłoniła tę miejscowość, w której przecież krzepły i ustalały się pewne poglądy i związki, mające dla przyszłości Polski wielkie znaczenie.

Bez dłuższych, zbędnych wstępów przechodzę do notatek por. Żarskiego. Oto notatki z pierwszego tygodnia pobytu:

30.VII. „Od wczoraj jestem w więzieniu, które zwie się oficjalnie „obozem dla internowanych oficerów wojsk polskich w Benjaminowie (koło Zegrza południowego)". Mieszkamy w zabudowaniach murowanych, które dawniej zajmowali na lato kadeci rosyjscy. Otoczeni jesteśmy płotem drucianym, strzeżonym przez posterunki niemieckie. Urządzono nam dzisiaj pyszne widowisko. Jest tu nas dopiero 98-miu, gdyż reszta jeszcze nie przyjechała. Wezwano nas wszystkich około godziny 6 na dziedziniec, uprzednio obstawiwszy tyraljerką cały obóz. Ustawiwszy nas między dwoma plutonami w dwurzędzie, które przy nas naładowały broń i nałożyły bagnety, odczytano nam zarządzenie generał-guberantora. Odebrano nam wszelką broń palną i sieczną, zrobiono rewizje w naszych mieszkaniach, wreszcie doręczono nam potwierdzenie zwolnienia z legionów, zawiadamiając o ostrych instrukcjach dla posterunków.

31.VII. Żyjemy tu jak niewolnicy. Jeść dają nam coraz mniej i gorzej, gdyż fasunek od wczoraj jest mniejszy od żołnierskiego i bez wszelkich dodatków.

1.VIII. Zbliża się powoli nasza trzyletnia rocznica wymarszu na wojnę, a my siedzimy w więzieniu, jako cywilni jeńcy i to w wolnej i niepodległej Polsce, proklamowanej przez Niemców. A nasze społeczeństwo, poza ronieniem łez bezsilnem, jak było, tak jest bierne. Jak długo tu zostaniemy i co z nami zrobią, nie wiemy. Według wiadomości od pułkownika Śmigłego akcja Galicjan została jeszcze odroczona spowodu mających zajść zmian politycznych.

2.VIII. Rocznica wymarszu patrolu Beliny w Kieleckie. Tak obchodzą rocznice swych czynów, zapisanych w historji narodu ci, którzy bronili honoru do ostatka, dając prócz życia całego siebie na usługi sprawy.

Są wiadomości o wywiezieniu nas wgłąb Niemiec, co jest rzeczą bardzo możliwą, gdyż, usuwając nas stąd, uśpią akcję biernego i tak społeczeństwa, sprowadzając ją do akcji tylko humanitarnej. Taki już widać nasz los.

3.VIII. Codzień przyjeżdżają nowi oficerowie do obozu, tak że liczba podniosła się na 106. Rano wezwano nas i odczytano nowe rozporządzenia. Zabroniono prowadzenia rozmów przez druty i podchodzenia do nich na odległość 10 metrów.

4.VIII. Dziś odbył się pierwszy apel o godz. 9, na który stawił się niemiecki feldfebel; tak ma być codzień.

Podobno społeczeństwo nie odczuwa wcale naszego losu, gdyż spowodu optymistycznych wieści spodziewa się szybkiego i korzystnego załatwienia naszej sprawy".

Potem przez szereg dni mowa głównie o głodzie i chorobach. Rzeczowo, prosto, przejmująco:

„Wydano zarządzenie wewnętrzne w sprawie chorych, którzy, bez względu na chorobę, nie mogą opuścić obozu".

„Nic nowego. Dni ciągną się leniwie, co przy złem odżywianiu jest tem więcej przykre. Czytać mogę bardzo mało spowodu osłabienia od pewnego czasu oka".

„Spowodu złego odżywiania się dostałem znów kurczów żołądkowych".

Docierają czasami wieści ze świata:

„**27.VIII.** Oficerowie, których wykryto w Szczypiornie, zostali wywiezieni do Niemiec. Lublin wydał odezwę do „braci Galicjan", utrzymaną w ostrym tonie, wzywającą do wytrwania w opozycji parlamentarnej, gdyż stosunki w Królestwie wobec gwałtów okupantów są na ostrzu noża, tak że zachodzi obawa wybuchu rewolucji. Przykro jest w takich chwilach siedzieć zamknięty, lecz pocieszam się tem przynajmniej, że nie próżnuję. Studjuję poza wojskowością filozofję.

3.IX. Przed dwoma dniami wywieziono do Jabłonny por. Polkowskiego jako świadka na rozprawę sądową w sprawie żołnierza z kompanji pilnującej nas, którego złapano na przenoszeniu listów do żon naszych oficerów, mieszkających obok na wsi. Dziś rano wywieziono kap. Paszkowskiego. Do tej chwili nie wrócili, tak że niewiadomo, co się z nimi stało".

Potem pojawiają się refleksje polityczne:

„**4.IX.** Swego czasu w Pomiechówku zastanawiałem się nad brakami naszej organizacji wewnętrznej, dochodząc do wniosku, że konieczne jest stworzenie silnej organizacji konspiracyjnej wewnątrz pułku, którąby urabiała opinję w myśl dążeń i założeń Komendanta. Z projektem tym zgłosiłem się do szefa, który, uznając potrzebę takiej organizacji, polecił mi zwrócić się z tem do Śmigłego.

8.IX. Gdy się takie chwile przeżywa, mimowoli musi się dojść nie po raz pierwszy do przekonania, że nie jesteśmy zdolni do życia bez rządu silnej ręki. Tak, to jest rzeczą konieczną i nieuniknioną dla Polski, by stała się państwem konstytucyjnem i monarchicznem, a nie republiką. Jeszcze do tego nie dorośliśmy, nie umiejąc podporządkować się, dla dobra całości, jakiemuś ciału.

23.IX. Msza została nieco opóźniona, gdyż zapowiedzieli się goście z Warszawy na godz. 11.30. Rzeczywiście, stawiło się trochę rodzin i słuchaczy Mszy, odgrodzonych od nas drutami kolczastemi i pilnującym sprzymierzeńcem.

Wiadomości o tych, których wywieziono ze Szczypiorna wgłąb Niemiec, są wprost okropne. Obchodzą się z nimi nieludzko. Tak potrafi mścić się na obezwładnionych ten wielki i kulturalny naród! Tak wygląda niepodległość, dana przez Niemców, o której tyle się rozpisują! Lecz przebierze się czara waszej potęgi, a strąceni do rzędu małych państw, wzdychać będziecie do dawnej mocy...".

I wreszcie ostatnia zapisana notatka:

„**1.XI.** Już minęły trzy miesiące, a nas trzymają ciągle zamkniętych. Łudziliśmy się, że z powstaniem Rady Regencyjnej i nas wypuszczą, dni jednak płyną i niema żadnych na to widoków. W Polsce rządzą obcy, lub, co gorsza, swoi, lecz zaprzedani obcemu bożkowi... Najprzykrzejszą rzeczą w życiu takiem, jakie tu prowadzimy, jest to ciągłe trzymanie się, jak tonący brzytwy, każdej plotki. Z tego powodu nastroje ulegają ciągłej zmianie. Z pesymizmu wpadamy w optymizm i odwrotnie, a nieświadomość tego, jak długo nas tu będą trzymać, jest wprost straszna".

Przez cały ciąg zapisek przewijają się nazwiska kolegów internowanych, aresztowanych, wywożonych. Są to Krok-Paszkowski, Orlicz-Dreszer, Tessaro, Walery Sławek, Downarowicz, W. Jędrzejewicz, Sławoj-Składkowski, Fabrycy, Piskor, Sosnkowski, Minkowski, Ulrych, Burhardt-Bukacki, Trojanowski i inni.

Suche notatki por. Żarskiego, który poległ w r. 1920 pod Równem, są pięknym pomnikiem polskiej literatury walki z okresu, poprzedzającego odbudowanie państwa.